



FELIETON KULINARNY

O zacności i cnotach Gospodyń Polskich

Autor: Data: 02.01.2006

Źródło: http://www.kuchnia.o2.pl/felietony/o-zacnosci-i-cnotach-gospodyn-polskich-o_341

Opowiedzieć Wam muszę o Pani Alicji.

Gdy zasiadam w Jej domu za stołem, przypominają mi się wszystkie usłyszane i wyczytane opowieści o cnotach dawnych Gospodyń Polskich. O ich zacności, staranności i pracowitości. Serdecznej trosce, z jaką traktują każdego kto zawita pod ich dach. Gospodyni to kobieta ciepła i lubiąca kobiece prace – coraz większy ewenement naszych czasów i trendów, które „obowiązują” współczesne kobiety. Tak pewnie funkcjonował polski dom w dawnych czasach. Spokojne zarządzanie całym gospodarstwem i...dogadanie podniebieniu stołowników, co Pani Alicja czyni niestrudzenie. Poza dogłębną znajomością „swojskich”, znanych od dzieciństwa przepisów regionalnych, wertuje stare i nowe książki kucharskie. Sama wymyśla receptury, które są połączeniem smaków znanych jej od dzieciństwa z całkiem nowymi pomysłami kulinarnymi. Przy jej stole sprawdza się powiedzenie słynnego smakosza A. Brillat-Savarin, że należy z umiarem próbować wszystkich nadchodzących po sobie dań. Rozkładać swe siły i możliwości rozsądnie, aby z honorem prawdziwego łasucha dotrzeć do deseru.

Gdzie się spotyka takie osoby? Na „końcu” Polski. W przepięknym krajobrazie nadnarwiańskich łąk. Podziwiasz wszystko do utraty tchu żywiąc się czym popadnie – jak to bywa podczas wędrówek krajoznawczych. Aż któregoś dnia żołądek mówi – dość! – teraz mnie musisz poświęcić nieco czasu. I tu zaczynają się problemy... bo marzy Ci się jakaś perwersyjna uczta, czyli nierozsądna idea poznania regionalnego smaku a do tego jeszcze w rozsądnej cenie. Zwiedzenie słynnej w okolicy knajpy, kończy się konstatacją, że pierogi tam wydawane są rzeczywiście wykwintne w smaku, ale stać by Cię było na nie co trzeci dzień. Obsługa pod bardzo cienkim naskórkiem grzeczności i poprawności jest dość arogancka. Nie będę się nad tym zjawiskiem rozwodzić, bo na pewno macie podobne doświadczenia za sobą. (Oby jak najmniej przed sobą).

Do domu Pani Alicji dotarliśmy po kilku dniach wyczerpujących doświadczeń z okoliczną „G”astronomią. Zjawiliśmy się dość niespodziewanie, praktycznie nie dając Jej czasu na przygotowanie obiadu specjalnie dla nas. Zapowiedziała posiłek skromny i zaledwie z tego, czym dysponuje w tak niespodziewanych okolicznościach. Zgodziliśmy się na wszystko, zbyt wyczerpani, by szukać tego dnia innego miejsca.

Przygotowani na zaspokojenie zaledwie części apetytu... rzuciliśmy się całkiem niegrzecznie na pierwsze „skromne” zakąski. Tymczasem po chwili wjechała waza zupy, której rzecz jasna sobie nie żalowaliśmy. Nieco uspokojeni, podskubując kieszonki stojące tu i ówdzie na stole, podchwytyjąc marynowane grzybki i listki sałaty, czekaliśmy już spokojniej na danie główne. Niekontrolowane westchnienie zachwytu wymknęło się wszystkim z ust, gdy zobaczyliśmy różnej maści placuszki, kotleciki ziemniaczane, sosy grzybowe i mięsa...Pałaszowanie ruszyło ze zdwojoną siłą. Nie mogąc dzielić się zachwytem z powodu pełnych ust, rzucaliśmy sobie okrągłe ze zdziwienia spojrzenia, pokazując palcami na migi co pyszniejsze kąski na półmiskach. Dawnym, nieco już porzuconym obyczajem do popijania był przepyszny kompot z sezonowych owoców.

Znacie na pewno to szczególne westchnienie, jakie wydają z siebie ludzie błogo nasyceni... Tymczasem Pani Alicja już zaczęła krzątać się koło deseru. Na widok „postumentowej” patery z biszkoptem i ciastem orzechowym nieco się zafrasowaliśmy. Wielki duch łakomstwa zwyciężył! Wbrew wszelkiemu rozsądkowi, znaleźliśmy w sobie dość sił, by ich spróbować.

Wszystkie te czary dzieją się w małej wsi nad Narwią, o sympatycznej nazwie Morusy. Mała wieś, wielkie przestrzenie podmokłych łąk, nie zagospodarowanych przez człowieka, „opowiedzianych” przez Włodzimierza Puchalskiego. Ile razy jestem w tamtych stronach – zawsze staram się wpaść na obiad do Pani Alicji.